

Kontynuacja bestsellerowej „Katedry w Barcelonie”

ILDEFONSO
FALCÓNES

DIEDZICE
ZIEMI



1

Barcelona, 4 stycznia 1387

Morze było wzburzone, niebo zaś szare jak z ołowiu. Pośród stojących na plaży mężczyzn pracujących w stoczni, przewoźników portowych, żeglarzy i *bastaixos** wyczuwało się napięcie. Wielu rozcierało ręce albo uderzało dłonią o dłoń, żeby je rozgrzać, inni próbowali szukać schronienia przed lodowatym wiatrem. Prawie wszyscy milczeli. Wymieniali spojrzenia i zwracali wzrok ku falom uderzającym z całą siłą w imponujących rozmiarów królewską galeryę, z trzydziestoma ławkami dla wiosłarzy po każdej stronie, zdaną na łaskę burzy. Przez ostatnie dni mistrzowie skutniczy wspomagani przez terminatorów i żeglarzy demontowali takielunek i wyposażenie okrętu: stery, uzbrojenie, żagle, maszty, ławki, wiosła... Wszystko, co dało się wynieść z okrętu, przewoźnicy przetransportowali na plażę, a *bastaixos* zabrali do magazynów. Zostały trzy kotwice zaczepione o dno, utrzymujące *Santa Martę*, olbrzymi opuszczony szkielet, o który rozbijały się fale.

Hugo, dwunastoletni chłopiec o kasztanowych włosach, inteligentnym spojrzeniu oraz dłoniach i twarzy równie brudnych, jak jego sięgająca kolan koszula, nie odrywał wzroku od galery. Od kiedy zaczął pracować w stoczni z Genuńczykiem, pomagał wyciągać na brzeg, a potem spuszczać na wodę wiele okrętów, ale ten był naprawdę ogromny, a burza czyniła całą operację bardzo ryzykowną. Kilku żeglarzy będzie musiało wejść na *Santa Martę*, żeby podnieść kotwice, a następnie przewoźnicy odholują galeryę na plażę, gdzie

* Tragarze pracujący w porcie Barcelony przy rozładunku i załadunku statków, skupieni we własnym bractwie. Termin używany w XIII–XV w.

czekał tłum mężczyzn, żeby wciągnąć okręt do stoczni. Tam miał przezimować. Była to mozolna praca, a przede wszystkim niezwykle ciężka, mimo że do ciągnięcia galery po piasku używano bloków i kołowrotów. Chociaż Barcelona była obok Genui, Pizy i Wenecji jedną z potęg Morza Śródziemnego, nie dysponowała portem, nie było tu basenów ani doków, które ułatwiłyby zadanie. Miała tylko otwartą plażę.

– *Anemmu!* – rozkazał Genuńczyk chłopakowi.

Hugo popatrzył na mistrza.

– Ale... – próbował zaprotestować.

– Nie dyskutuj – przerwał mu Genuńczyk. – Zarządca stoczni uściśnął właśnie rękę starszemu cechowi przewoźników. – Wskazał brodą na grupkę mężczyzn stojących kawalek dalej. – To znaczy, że dogadali się co do nowej ceny, którą król zapłaci im za dodatkowe ryzyko związane z burzą. Wyciągamy galerę z wody! *Anemmu!* – powtórzył.

Chłopiec schylił się, chwycił żelazną kulę przyczepioną łańcuchem do prawej kostki Genuńczyka, uniósł ją z wysiłkiem i przycisnął do brzucha.

– Gotów? – zapytał Genuńczyk.

– Tak.

– Główny mistrz już na nas czeka.

Taszcząc żelazną kulę uniemożliwiającą szkutnikowi swobodne poruszanie się, Hugo kroczył za nim między ludźmi, którzy poinformowani już o zawartej umowie dyskutowali, krzyczeli podekscytowani i pokazywali na coś rękami w oczekiwaniu na instrukcje głównego mistrza. Byli wśród nich inni Genuńczycy, również wzięci do niewoli na morzu i zmuszeni do pracy w barcelońskich stoczniach, unieruchomieni żelaznymi kulami podtrzymywanymi przez stojących przy nich chłopców.

Domenico Blasio – Genuńczyk, któremu towarzyszył Hugo – był jednym z najlepszych szkutników nad Morzem Śródziemnym, może nawet lepszym od samego głównego mistrza. Wziął Hugona na ucznia na prośbę *micer** Arnaua Estanyola i Juana Nawarczyka,

* Tytuł honorowy używany w Królestwie Aragonii w odniesieniu do ludzi wykształconych.

pomocnika zarządcy stoczni – mężczyzny o wielkim brzuchu i okrągłej łysej głowie. Początkowo traktował chłopaka niezbyt uprzejmie, bo tak lubił budować statki, że gdy obrabiał drewno, zapominał o tym, że jest więźniem. Od kiedy król Piotr IV nazwany Ceremonialnym* zawarł kruchy pokój z Republiką Genui, wszyscy jeńcy pracujący w jego stocznich żyli nadzieją, że Genua uwolni katalońskich więźniów, a wtedy i oni odzyskają wolność. Od tego czasu mistrz skutniczy zaczął okazywać Hugonowi względy i uczyć go tajników jednego z najbardziej cenionych zawodów na wybrzeżach Morza Śródziemnego: budowniczego statków.

Kiedy Genuńczyk dołączył do grupy starszych cechu i majstrów skupionych wokół głównego mistrza, Hugo położył kulę na piasku za jego plecami i rozejrzał się po plaży. Napięcie rosło; ludzie uwiązali się, szykując sprzęt, a ich okrzyki, słowa otuchy i poklepywanie po plecach brzmiały jak wyzwanie w starciu z wiatrem, chłodem i słabym, zamglonym światłem, tak niezwykłym w tej krainie nieprzerwanie nagradzanej blaskiem słońca. Chociaż praca Hugona polegała tylko na noszeniu żelaznej kuli, poczuł dumę z przynależności do tej wspólnoty. Na końcu plaży, pod wychodzącą na morze ścianą stoczni, zebrało się wielu gapiów, którzy krzyczeli i klaskali, żeby dodać im otuchy. Chłopak popatrzył na żeglarzy niosących łopaty do kopania piasku pod galerą, na ludzi przygotowujących kołowroty, bloki i liny, na taszczących belki, które po posmarowaniu ich tłuszczem albo wyłożeniu trawą pozwolą przepchnąć galerę, na *bastaixos* szykujących się do ciągnięcia za liny...

Zapomniał o Genuńczyku, zostawił kulę i pobiegł w stronę *bastaixos* zebranych na plaży. Przyjęli go ciepło, przyjaźnie poklepując po plecach. „Gdzie zgubiłeś kulę?”, zapytał jeden z nich, czym rozładował napięcie i atmosferę powagi. Znali Hugona, a raczej wiedzieli, kim jest, dzięki życzliwości, jaką okazywał mu *micer* Arnau Estanyol, starzec, który stał teraz pośród zgromadzonych, malutki w porównaniu z otaczającymi go krzepkimi mężczyznami z barcelońskiego bractwa *bastaixos*. Wszyscy znali Arnaua Estanyola i podziwiali jego dokonania. Żył jeszcze kilka osób, które pamiętały

* Na końcu książki znajdują się informacje o postaciach historycznych występujących w powieści.

dobrodziejstwa, jakie wyświadczył konfraterni i jej członkom. Hugo stanął obok niego w milczeniu, jakby był własnością starca. Ten zmierzył mu czuprynę, nie przerywając rozmowy. Omawiali ryzyko związane z holowaniem galery, zwłaszcza jeśli statek osiadnie na mieliźnie daleko od plaży i trzeba będzie się tam dostać, żeby go zakotwiczyć. Mógłby się wywrócić. Fale były bardzo wysokie, a większość *bastaixos* nie umiała pływać.

- Hugonie! – rozległo się wołanie wśród panującej wrzawy.
- Znowu zostawiłeś swojego mistrza? – zapytał Arnau.
- Nie ma jeszcze nic do roboty – usprawiedliwił się chłopak.
- Idź do niego.
- Ale...
- Idź.

Dźwigając kulę, Hugo kroczył za Genuieńczykiem po plaży, podczas gdy ten wydawał różne polecenia. Główny mistrz darzył go szacunkiem, inni także. Nikt nie kwestionował umiejętności Domenica jako mistrza skutniczego. Kiedy przewoźnicy dotarli na *Santa Martę*, wyciągnęli kotwice, umocowali liny i zaczęli holować okręt w stronę brzegu, zebranych na plaży ogarnęła prawdziwa gorączka. *Santa Marta* ciągnęły cztery barki, po dwie z każdej strony. Niektórzy przyglądali się tej scenie z przerażeniem; widać to było po ich twarzach i zaciśniętych dłoniach. Większość jednak dała się ponieść emocjom: głośno zagrzewali holujących, czyniąc ogłuszający harmider.

– Nie rozpraszaj się – przywołał Hugona do porządku Genuieńczyk, bo chłopak, pochłonięty widokiem bliskiej pójścia na dno galery i dwóch przewoźników, którzy wypadli za burtę, pozostawał w tyle. Czy uda im się wspiąć z powrotem na pokład?

– Mistrzu... – poprosił, nie mogąc oderwać wzroku od załogi próbującej ratować towarzyszy, podczas gdy *Santa Marta* przechylała się na bok na skutek manewrów barki.

Zadrzał na całym ciele. Ta scena skojarzyła mu się z inną, o której opowiedzieli mu żeglarze towarzyszący jego ojcu, kiedy kilka lat wcześniej fale pochłonęły go podczas rejsu na Sycylię. Genuieńczyk zrozumiał go, bo znał tę historię. Zresztą sam był pod wrażeniem dramatu rozgrywającego się daleko od brzegu.

Jeden z przewoźników zdołał się wspiąć na pokład barki, drugi walczył desperacko z falami. Nie zapomną tego widoku. Załoga dru-

giej barki, po tej samej stronie galery, puściła linę i skierowała się tam, gdzie zniknęły pod wodą ręce wzywającego pomocy przewoźnika. Chwilę później wymachujące dłonie znów pojawiły się na powierzchni. Widzowie na brzegu prawie jednocześnie wypuścili wstrzymywane w płucach powietrze. Ale ręce ponownie zginęły im z oczu. Prądy ciągnęły tonącego na otwarte morze. Załoga pierwszej barki również wypuściła linę. Na pozostałych zrobiono to samo i załogi czterech barek wiosłowały teraz ze wszystkich sił, współmiennie do energii przekazywanej im z plaży okrzykami, modlitwami czy milczeniem.

Hugo poczuł, że mistrz zaciska dłonie na jego ramionach. Nie poskarżył się, że sprawia mu ból.

Dryfująca *Santa Marta* zaczęła w tym czasie o niewielki pirs Świętego Damiana. Niektórzy skierowali na chwilę wzrok w tamtą stronę, ale potem znów skupili uwagę na barkach. Załoga jednej z nich zaczęła coś sygnalizować i choć ktoś padł na kolana, uznając to za dobry znak, większości to nie wystarczyło. A jeśli źle zinterpretowano sygnał? Lecz zaraz pojawiło się ich więcej, na wszystkich barkach, kilka ramion w górze, pięści zaciśnięte, jakby chciały walić w niebo. Nie ulegało wątpliwości: wracali. Wiosłowali w stronę plaży, na której zebranych połączyły śmiechy, uściski i łzy.

Hugo poczuł, że mistrz oddycha z ulgą, sam jednak nadal drżał. Nikt nie mógł nic zrobić dla jego ojca – tak mu powiedziano. Teraz wyobraził go sobie wzywającego pomocy z uniesionymi ramionami, jak przewoźnik do niedawna zanurzony w falach.

Stojący za nim Genuńczyk poklepał go czule po policzku.

– Morze jest wspaniałe, ale potrafi też być okrutne – powiedział cicho. – Być może to twój ojciec pomógł dziś, tam z dołu, temu człowiekowi.

Tymczasem *Santa Marta*, miotana raz po raz falami, rozbijała się o skały pirsu.

– Takie są efekty, kiedy wbrew starym zasadom pozwala się na żeglowanie poza okresem od kwietnia do października – tłumaczył Arnau Hugonowi nazajutrz po katastrofie *Santa Marty*.

Szli w stronę dzielnicy La Ribera. Ludzie ze stoczni zbierali deski z roztrzaskanej galery, które woda wyrzucała na plażę, i stojąc

na pirsie, próbowali ratować, co się da. Genueńczyk nie mógł tam pracować, dlatego i on, i Hugo mieli dzień wolny przed świętem Objawienia Pańskiego, wypadającym tym razem w niedzielę.

– Teraz galery są lepsze – wyjaśniał Arnau. – Mają więcej ławek i wiosła, są budowane z drewna i żelaza lepszej jakości, przez mistrzów, którzy dysponują większą wiedzą. Dzięki zdobytym doświadczeniom zrobiliśmy duże postępy w żeglowaniu i są już tacy, którzy ośmielają się rzucać wyzwanie zimie. Zapominają, że morze nie przebacza nierozważnym.

Wracali do kościoła Matki Boskiej Morskiej – Santa María del Mar – żeby zdeponować w skarbonie Garnuszka Wstydliwych Ubogich – instytucji dobroczynnej działającej przy świątyni – pieniądze zebrane po domach jako jałmużna. Garnuszek miał spore dochody, był właścicielem winnic, budynków, warsztatów, pobierał czynsze... *Micer* Arnau znajdował jednak upodobanie w zabieganiu o miłosierdzie bliźnich, do czego zarządcy Garnuszka byli zresztą zobligowani. Od kiedy zaczął wspierać bliskich Hugona i w imieniu parafii Matki Boskiej Morskiej łagodzić skutki ubóstwa, w jakie popadli po śmierci głowy rodziny, chłopak pomagał mu w zbieraniu datków dla potrzebujących. Hugo poznawał tych, którzy dawali, ale nie tych, którzy otrzymywali wsparcie.

– Dlaczego... – zaczął. Arnau zachęcił go przyjaznym gestem, by mówił dalej. – Dlaczego człowiek taki jak wy... zajmuje się zbieraniem?

Arnau uśmiechnął się wyrozumiale, zanim odpowiedział.

– Prośenie o jałmużnę dla potrzebujących to wyróżnienie, łaska od Boga, nie powód do wstydu. Żadna z odwiedzonych przez nas osób nie dałaby nawet jednej monety komuś, komu nie mogłaby zaufać. Zarządcami Garnuszka muszą być barcelońscy notable, i to oni zebrzą na rzecz ubogich. Wiesz, co ci powiem? – *Micer* Arnau nie czekał, aż Hugo zaprzeczy, i ciągnął: – My, zarządcy, nie mamy obowiązku rozliczania się z tego, co robimy z pieniędzmi Garnuszka, nie tylko tymi zebranymi po domach, ale z całym majątkiem. Przed nikim, nawet przed archidiakonem kościoła Matki Boskiej Morskiej... Nawet przed samym biskupem! To zaufanie powinno obejmować wszystkich notabli. Nikt nie wie, której rodzinie pomogłem dzięki jałmużnie od bogobojnych ludzi.

Hugo towarzyszył *micer* Arnauowi podczas zbierania pieniędzy do dnia, gdy ten załatwił mu pracę w stoczni, u boku Genuieńczyka, by nauczył się budowania statków i sam kiedyś został mistrzem skutniczym. Jeszcze zanim chłopiec trafił do stoczni, Arnau ulokował jego młodszą siostrę Arsendę w klasztorze przy ulicy Jonqueres w charakterze służącej pewnej zakonnicy. Mniszka zgodziła się odziewać, żywić i kształcić dziewczynkę, uczynić z niej szanowaną kobietę, a po dziesięciu latach dać jej w posagu dwadzieścia funtów, by mogła wyjść za mąż. Taką podpisali umowę.

Radość, z jaką Hugo przyjął pracę w stoczni i wstąpił do fascynującego świata budowniczych statków – choć jego zadania ograniczały się do noszenia kuli Genuieńczyka – została przyćmiona przez konsekwencje, jakie ta nowa funkcja miała dla jego stosunków z matką.

– Mam tam mieszkać? Spać? – zapytał ją wystraszony, kiedy powiedziała mu o jego nowym zajęciu. – Dlaczego nie mogę pracować, a potem wracać, żeby spać tutaj, w domu, jak dotąd?

– Bo ja tu już nie będę mieszkała – obwieściła Antonina łagodnie, jakby tylko w ten sposób mogła go przekonać.

Pokręcił głową.

– To nasz dom...

– Nie jestem w stanie za niego płacić – przerwała mu. – Ubogie wdowy z dziećmi są jak bezużyteczne staruszki, nie mamy żadnych szans w tym mieście. Powinieneś to wiedzieć.

– Ale *micer* Arnau...

Matka znowu mu przerwała:

– *Micer* Arnau znalazł mi pracę, za którą dostanę ubranie, łóżko, jedzenie i może jakieś pieniądze. Skoro twoja siostra jest w klasztorze, a ty w stoczni, co miałabym tu począć sama?

– Nie! – krzyknął Hugo, przywierając do niej całym ciałem.

Stocznie królewskie w Barcelonie znajdowały się nad samym morzem. Składała się na nie budowla o ośmiu nawach podtrzymywanych filarami i krytych dwuspadowymi dachami, za którą rozciągał się plac dostatecznie duży, by umożliwić konstruowanie wielkich galer. Dalej stała kolejna hala, również złożona z ośmiu naw, na

tyłe wysokich i jasnych, że można w nich było budować, naprawiać i trzymać katalońskie okręty. Wspaniałe dzieło rozpoczęte jeszcze za panowania króla Jakuba i kontynuowane pod patronatem Piotra Ceremonialnego wieńczyły cztery wieże, po jednej na każdym rogu całego kompleksu.

Obok hal, wież i basenów z wodą do moczenia drewna znajdowały się tu magazyny, w których gromadzono materiały i sprzęt przydatny na galerach: belki, narzędzia, wiosła, broń – kusze, strzały, lance, kosy, kolubryny, topory, dzbany z niegaszonym wapnem do oślepiania przeciwników atakujących podczas abordażu, inne z mydłem, na którym mieli się ślizgać żeglarze wroga, jeszcze inne ze smołą do wzniecania pożarów na ich statkach – podłużne tarcze, które umieszczano po bokach galery, żeby chronić wioślarzy w czasie walki, skóry, którymi pokrywano kadłub, żeby nieprzyjaciel nie mógł go podpalić, żagle, chorągwie, gwoździe, łańcuchy, kotwice, maszty, lampy i mnóstwo innych przedmiotów.

Zabudowania stoczni wznosiły się na krańcu Barcelony przeciwnie do miejsca, gdzie stały kościół Matki Boskiej Morskiej i klasztor Franciszkanów. Mnichów chroniły stare mury miasta, ale stocznie dopiero czekały na fortyfikacje, które nakazał zbudować Piotr IV. Dużo jeszcze brakowało do realizacji tego planu, tak jak brakowało pieniędzy potrzebnych do kontynuowania robót przy murach mających otoczyć nową dzielnicę El Raval.

Matka nie odprowadziła Hugona do stoczni.

– Jesteś już mężczyzną, synu. Pamiętaj o ojcu.

Pożegnała się wyprostowana, udając surowość. Wbrew sobie trzymała się w odległości dwóch kroków od syna i błagała niebiosy, by *micer* Arnau jak najszybciej go zabrał, żeby mogła ukryć przed chłopcem łzy. Arnau zrozumiał i lekko szturchnął Hugona w plecy.

– Będziesz ją widywał – tłumaczył chłopakowi, który siedł, cały czas oglądając się za siebie.

Po kilku dniach, kiedy Hugo przywykł już do nowego otoczenia, pobiegł do miasta, żeby zobaczyć się z matką. *Micer* Arnau wyjaśnił mu, że pracuje jako służący w domu pewnego rękawicznika, na ulicy Canals, przy kanale nawadniającym na tyłach kościoła Matki Boskiej Morskiej.

– Skoro to jest twój syn, to niech cię stąd zabiera – zareagowała grubiańsko żona rękawicznika na nieśmiałe tłumaczenia Antoniny, gdy zaskoczyła ją, jak ścisnęła się z Hugonem w drzwiach. – Do niczego się nie nadajesz, znasz się tylko na rybach, na niczym więcej. Nigdy nie pracowałeś w bogatym domu. Ty...! – Wskazała palcem na chłopca. – Wynos się stąd! – krzyknęła i czekała, świdrując go wzrokiem.

Chłopak usłuchał prośby wyrażonej w dziwnym spojrzeniu matki i odszedł, smutny z powodu bezsilności bijącej z jej oczu, do niedawna zawsze wesołych i pełnych nadziei. Antonina patrzyła, jak syn się oddala. Nie uszedł daleko, kiedy usłyszał, jak żona rękawicznika łaja jego matkę; głos kobiety odbijał się echem w uliczce mimo zamkniętych drzwi domu. Rozpłakał się.

Nadal przychodził na Canals w nadziei, że zobaczy matkę. Za drugim razem stanął w pobliżu domu, ale nie miał gdzie się schować w uliczce ze stłoczonymi budynkami.

– Co tu robisz, smarkaczu?! – wrzasnęła na niego jakaś kobieta z okna na piętrze. – Zamierzasz coś ukraść? Wynocha!

Oddalił się szybkim krokiem ze strachu, że krzyki wywabią z domu żonę rękawicznika i matce znów się oberwie.

Od tamtego czasu tylko przechadzał się po ulicy Canals, jakby dokąś szedł albo skądś wracał; zatrzymywał się na tak długo, jak to było możliwe, przed domem rękawicznika i nucił melodię, którą zawsze gwizdał ojciec. Nigdy nie udało mu się jednak zobaczyć matki.

Odchodził, pocieszony myślą, że spotka ją w niedzielę na mszy, i szedł do dzielnicy La Ribera, by znaleźć *micer* Arnaua w kościele Matki Boskiej Morskiej albo w jego domu wciśniętym między inne zajmowane przez ludzi morza, albo w kantorze, do którego starzec zaglądał coraz rzadziej, bo pozostawił zarządzanie swoim pracownikom. Jeśli go tam nie było, szukał na ulicach. Zazwyczaj znajdował go w którymś z tych miejsc. Mieszkańcy La Ribery dobrze znali Arnaua Estanyola, większość z nich go ceniła. Wystarczyło o niego zapytać, w piekarni przy ulicy Ample, w jatce przy ulicy Mar, w jednym z dwóch sklepów rybnych albo w zakładzie serowarskim.

W tym czasie dowiedział się, że *micer* Arnau ma żonę imieniem Mar – „córka *bastaixa*”, mówił o niej starzec z dumą – a także syna Bernata, trochę starszego od Hugona.

– Masz dwanaście lat? – zapytał Arnau, kiedy Hugo kolejny

raz podał mu swój wiek. – Bernat skończył szesnaście. Teraz jest w konsulacie w Aleksandrii, uczy się handlu i żeglarsstwa. Myślę, że niedługo wróci do domu. Ja już nie chcę się zajmować interesami. Jestem stary!

– Nie mówcie tak...

– Nie dyskutuj – przerwał mu Arnau.

Chłopiec nie dyskutował, przytaknął i dalej szedł przy starcu, który opierał się na jego ramieniu. Lubił, kiedy *micer* Arnau to robił. Gdy mijający ich ludzie okazywali im szacunek, czuł, że jest ważny, bawiło go nawet odpowiadanie na powitania. Czasami robił to tak przesadnie, że przy ukłonie tracił równowagę.

– Przed nikim nie należy zginać karku – doradził mu któregoś dnia Arnau.

Hugo nie odpowiedział. Arnau czekał, bo znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że się odezwie.

– Wy możecie się nie kłaniać, bo jesteście szanowanym człowiekiem. Ale ja...

– Jeśli udało mi się zostać szanowanym człowiekiem, to może właśnie dlatego, że nigdy przed nikim nie zginałem karku.

Tym razem Hugo nie odpowiedział, ale Arnau już nie zwracał na niego uwagi; wrócił myślami do dnia, w którym przeszedł na kolanach salon w domu Puigów i ucałował stopy Margaridy. Puigowie, krewni Estanyolów, wynoszący się nad innych bogacze, upokorzyli Arnaua i jego ojca, Bernata, który z ich winy skończył na szubienicy, powieszony na placu Blat jak zwykły przestępca. Margarida darzyła go ślepą nienawiścią. Już na samą myśl o tej kobiecie po plecach Arnaua przebiegał dreszcz. Od tamtej pory nigdy o nich nie słyszał.

Tamtego styczniowego dnia 1387 roku, kiedy dochodzili do kościoła Matki Boskiej Morskiej, widok jakiegoś ubogiego człowieka, zapewne żeglarsza, który złożył im przesadnie głęboki ukłon, przypomniał Hugonowi radę, jakiej udzielił mu Arnau. Uśmiechnął się. „Przed nikim nie należy zginać karku”. Ileż to zniewag i kopniaków zaliczył wyłącznie dlatego, że poszedł za tą radą! Ale *micer* Arnau miał rację: po każdej bójce chłopcy ze stoczni okazywali mu coraz większy respekt, nawet jeśli oberwał, jak to najczęściej bywało, kiedy stawiał się starszym od siebie.

Przechodzili przez plac Llulla, na tyłach placu Born i kościoła

Matki Boskiej Morskiej, gdy w oddali rozległ się dźwięk dzwonów. Arnau przystanął, jak wielu innych. Nie było to bicie na alarm.

– Obwieszczają śmierć – szepnął starzec z przymkniętymi oczami. – Umarł król Piotr.

Ledwie wypowiedział te słowa, ogłuszył ich dźwięk dzwonów kościoła Matki Boskiej Morskiej. Potem odezwały się te od Świętych Justa i Pastora, od Świętej Klary i z klasztoru franciszkanów... Po chwili dzwoniły zmarłemu wszystkie dzwony w Barcelonie i okolicach.

– Król...! – potwierdzały okrzyki na ulicach. – Umarł król!

Hugo zauważył niepokój na twarzy *micer* Arnaua. Starzec utkwili zmęczone szkliste spojrzenie w jakimś punkcie u wjazdu na plac Born. Chłopiec źle zinterpretował jego smutek.

– Poważaliście króla Piotra? – spytał.

Arnau skrzywił się i zaprzeczył ruchem głowy. Ożenił mnie ze zmiłą, swoją wychowanką, bardzo złą kobietą, mógłby odpowiedzieć.

– A jego syna? – wypytywał go dalej chłopiec.

– Księcia Jana?

Doprowadził do śmierci jednego z najlepszych ludzi na tym świecie, chciał powiedzieć Arnau. Przypomniawszy sobie płonącego na stosie Hasdaia. Człowieka, który uratował mu życie po tym, jak on uratował życie jego dzieci. Żyda, który go przygarnął i dzięki któremu stał się bogaty. Upłynęło już tyle lat...

– To zły człowiek – odparł.

Niesłusznie skazał trzech prawych mężczyzn, którzy poświęcili się dla swoich bliskich i dla wspólnoty, dodał w duchu.

Westchnął i mocno wsparł się na Hugonie.

– Wracajmy do domu – poprosił, widząc zamieszanie spowodowane biciem dzwonów. Ludzie krzyczeli i biegali w tę i w ową stronę. – Obawiam się, że przez kilka najbliższych dni, może tygodni, Barcelona będzie przeżywać ciężkie chwile.

– Dlaczego? – zapytał Hugo, czując na ramieniu ciężar starca. Wyprostował się w oczekiwaniu na odpowiedź, ale jej nie otrzymał. – Dlaczego mówicie, że będziemy przeżywać trudne chwile? – powtórzył kilka kroków dalej.

– Parę dni temu królowa Sybilla uciekła z pałacu wraz z krewnymi i dworem – wyjaśnił Arnau. – Kiedy nabrała pewności, że jej mąż umrze...

– Opuściła króla? – zdziwił się chłopiec.
– Nie przerywaj – upomniął go starzec. – Uciekła, bo boi się zemsty księcia... nowego króla Jana – poprawił się. – Królowa nigdy nie miała krzty szacunku dla pasierba, a ten obwiniał ją o wszystkie swoje nieszczęścia, o izolowanie go od ojca, o jego wrogi stosunek. W zeszłym roku król Piotr pozbawił go tytułu i honorów należnych królewskiemu namiestnikowi, a to wielkie upokorzenie dla następcy tronu. Na pewno zechce się zemścić, będą represje.

Dzień po śmierci Piotra IV wierni pograżyli się w żałobie, żałobą okrył się też cały Kościół. Zapanowało ogólne przygnębienie. Hugo słuchał niedzielnej mszy razem z matką. Były to jedyne chwile swobody, na jakie pozwalał Antoninie rękawicznik z ulicy Canals. Chłopiec zobaczył *micer* Arnaua, który stał w tłumie, zgarbiony, lecz stał, jak oni, jak malutcy. Hugo spojrzał na Najświętszą Panienkę. *Micer* Arnau twierdził, że się uśmiecha. On tego nie widział, lecz starzec obstawał przy swoim, więc chodzili do kościoła o różnych porach, żeby modlić się i patrzeć na figurkę.

Do Hugona Matka Boska Morska nigdy się nie uśmiechała, ale nie przeszkadzało mu to w zanoszeniu do niej modlitw i proszeniu jej o wstawiennictwo: za matkę, żeby odeszła od rękawicznika, była szczęśliwa, znowu się śmiała i kochała go jak dawniej; żeby mogli zamieszkać razem z Arsendą. Modlił się za ojca, modlił się o zdrowie dla *micer* Arnaua i wolność dla Genuńczyka. Wolność... Zawahał się. Jeśli go uwolnią, wróci do Genui i nie wyszkoli mnie na mistrza skutniczego, pomyślał, walcząc z wyrzutami sumienia. Mimo to wstaw się za nim, Pani, by odzyskał wolność, zdecydował się wreszcie.

Kiedy długa msza dobiegła końca, Hugo i Antonina nie przeznaczili tym razem chwili, jaką dla siebie mieli, na rozmowę i uściski, ich uwagę pochłonęły bowiem plotki. Na placu, gdzie wznosiła się wspaniała fasada kościoła z płaskorzeźbami z brązu upamiętniającymi *bastaixos*, którzy pomagali w budowie świątyni, Hugo znowu dostrzegł *micer* Arnaua, nie zdołał jednak do niego podejść. Ludzie spragnieni nowin otaczali jego i innych notabli, którzy zamiast udać się do katedry, przyszli do kościoła Matki Boskiej Morskiej i teraz znaleźli się w centrum zainteresowania parafian.

Dowiedział się, że królowa Sybilla, która uciekła do zamku Sant Martí Sarroca, dwa dni drogi od Barcelony, negocjuje warunki poddania siebie i swoich ludzi infantowi Marcinowi, bratu króla Jana. Usłyszeli również, że nowy monarcha przebywa w Gironie i choć jest bardzo chory, to podobno kiedy tylko otrzymał wiadomość o śmierci ojca, wyruszył do Barcelony. Ludzie rozprawiali, snuli rozmaite domysły. Hugo pilnie nadstawiał ucha.

– Synku! – zawołała go Antonina. – Muszę...

Nie skończyła zdania, bo Hugo, nie zważając na plotki, objął ją i wtulił głowę w jej piersi.

– Muszę iść – przypomniała mu, uciekając wzrokiem przed lubieżnymi spojrzeniami niektórych mężczyzn.

Wielu mieszkańców La Ribery znało sytuację, w jakiej Antonina znalazła się po śmierci męża. Mało kto dostrzegał jej podkrążone oczy, zmarszczki, które zaczęły żłobić jej twarz, zaczerwienione dłonie. Nadal była piękną, niezwykle zmysłową kobietą.

Delikatnie uwolniła się z objęć syna, kucnęła przed nim i łagodnie ujęła w dłonie jego twarz.

– Spotkamy się w następną niedzielę. Nie płacz – próbowała mu dodać otuchy, widząc, jak wygina mu się dolna warga i drży broda. – Bądź silny i dużo pracuj.

Patrzył przez chwilę na tłum, w którym zniknęła, jakby czekał, aż znowu ją zobaczy. W końcu zacisnął usta i ponownie skierował wzrok w miejsce, gdzie otoczony ludźmi stał *micer* Arnau. Zdał sobie sprawę, że ma ściśnięte gardło i wilgotne oczy. Postanowił odejść. Jutro się z nim zobaczę, pomyślał.

Ale tak się nie stało. Następnego dnia kilkakrotnie uwalniał się od nauk i kuli Genuieńczyka i szukał *micer* Arnaua, nie mógł go jednak znaleźć.

– Nie ma go, chłopcze – powiedziała służąca Juana.

Nikt nie potrafił udzielić mu żadnej informacji.

– Jest na spotkaniu Rady Stu* – oznajmiła Mar, powiadomiona przez służącą o wycie Hugona.

– Dziękuję, pani – odparł onieśmielony. – Kiedy wróci...

– Nie martw się, wie, że tu byłeś. Powiedziałyśmy mu. Mówił,

* Samorządowy organ władzy w Barcelonie, istniejący od XIII do XVII w.

żebym cię przeprosiła. Bardzo cię ceni, ale nastały ciężkie czasy – usprawiedliwiała się, powtarzając słowa męża.

Hugo zdawał sobie sprawę, że dla Barcelony i całej Katalonii rzeczywiście nastały ciężkie czasy. Słyszał o tym w stoczniach, gdzie prace uległy spowolnieniu, bo majstrowie i czeladnicy zajmowali się głównie komentowaniem pogłosek.

– Już jest w Barcelonie – obwieścił któregoś dnia jeden z traczy, mając na myśli króla Jana.

– Ale ciężko zachorował! – wykrzyknął inny.

– Mówią, że królowa Sybilla rzuciła na niego urok. Dlatego tak ciężko choruje.

– Królową uwięziono.

– Jej dwór również. I doradców króla Piotra. Wszystkich uwięziono.

– Poddają ich torturom – dobiegł głos od strony palenisk pełnych rozżarzonych węgli, gdzie parą wodną zmiękczano deski, by dały się wygiąć.

– Niemożliwe! – wykrzyknął ktoś. – Prawo tego zabrania. Najpierw muszą ich osądzić.

A jednak tak właśnie było. Kilka dni później paru majstrów potwierdziło, że król Jan i jego ministrowie mimo sprzeciwu sędziów i rajców miejskich wydali polecenie, by zatrzymanych poddano torturom. Komentarze ucichły. W olbrzymich halach stoczni znowu rozbrzmiewały odgłosy pił, siekier i młotów, ale nie był to żwawy rytm, do jakiego wszyscy przywykli.

– Nie powinniśmy na to pozwalać! – zawołał ktoś, przerywając milczenie.

Hugo zacisnął z całej siły palce na kuli Genuieńczyka, jakby w ten sposób chciał się przyłączyć do narastającego buntu.

– Król musi przestrzegać praw! – dobiegł głos z innej strony.

Nikt jednak nie ośmielił się nic zrobić.

Królową Sybillę torturowano do czasu, aż wycieńczona i zastraszona oddała królowi Janowi wszystkie ziemie, zamki i inne należące do niej dobra. Monarcha ułaskawił żonę ojca i jej brata, Bernarda z Fortiá, a także hrabiego Pallars, nie przerwał jednak procesów przeciwko pozostałym zatrzymanym.

I jakby chcąc jeszcze bardziej zastraszyć notabli, rajców, sędziów

i zwykłych ludzi, nakazał, by ścięto publicznie Berenguera z Abelli, ministra króla Piotra, oraz Bartolomé z Limes, jednego z rycerzy, którzy uciekli z królową.

Barcelona nadal nie burzyła się przeciwko nowemu królowi. Miasto żyło zastraszone. Hugo przekonał się o tym na placu Palau, szerokiej esplanadzie między plażą, giełdą towarową i składem pszenicy, dokąd docierał szum morza na przekór apatii setek barcelończyków zgromadzonych, by obejrzeć ścięcie dwóch mężczyzn, których jedyną winą była lojalność wobec swojego monarchy. Hugo szukał Arnaua w tłumie ludzi zebranych wokół szafotu, wysokiego drewnianego podium z pniem katowskim na poczesnym miejscu, które otaczali teraz żołnierze króla Jana. Nie znalazł go, ale wiedział, że tam jest. Zobaczył za to rajców miejskich; byli poważni, ubrani na czarno, podobnie jak członkowie Rady Stu, cechmistrzowie poszczególnych bractw, kapłani, proboszczowie i prepozyci... Wielu stało w milczeniu, inni rozmawiali ścisłymi głosami. Większość spuściła wzrok, jakby czuli się winni i bali się, że ktoś ich oskarży.

Hugo przecisnął się między zebranymi. Nie napotkał przeszkód jak podczas innych egzekucji, kiedy gapie tłoczyli się i popychali, żeby stanąć jak najbliżej straceńca. Skazańców nie powitały krzyki i wyzwiska, jak to było w zwyczaju. Chłopiec znalazł się niespodziewanie w pierwszym rzędzie. Zebrani wokół szafotu cofali się, w miarę jak orszak wchodził na podium. Jakaś kobieta chwyciła Hugona za ramiona i ustawiła przed sobą niczym tarczę, lecz uwolnił się z jej rąk. W tym czasie ksiądz czynił w powietrzu znak krzyża przed obliczem mężczyzny, który zachował pełną godności wyniosłość, choć jego wykwintne szaty były brudne i podarte. Na podium za oskarżonymi, zwrócenii twarzą do publiczności, stali w szeregu strażnicy i kilku nowych ministrów, którzy podjęli się rządzenia królestwem.

Herold odczytał zarzuty. Ludzie słuchali tych kłamstw coraz bardziej wystraszeni. Egzekucja odbyła się szybko i sprawnie. Zakrwawiona głowa Berenguera z Abelli spadła do worka, podczas gdy jego nogi jeszcze przez kilka sekund wierzgały w konwulsjach na oczach wstrząśniętych widzów. Dopiero wtedy Hugo zobaczył Arnaua. Stał po przeciwnej stronie, daleko od niego.

– *Micer Arnau*...

Powiedział to do siebie, ale te dwa słowa zadźwięczały donośnie w przerażającej ciszy będącej odpowiedzią na śmierć barcelońskiego szlachcica. Chłopiec podskoczył zdumiony, wyglądało jednak na to, że nikt nie zwrócił na niego uwagi. Ksiądz był teraz zajęty rycerzem; w tym czasie wynoszono ciało i głowę Berenguera z Abelli. Hugo minął szafot, przecinając pustą przestrzeń między szpalerem widzów i żołnierzami, żeby podejść do Arnaua. Chciał mu coś powiedzieć, ale zauważył, że starzec stoi nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w jednego z wielmożów, którzy towarzyszyli nowym ministrom.

– *Micer Arnau*...

Nie dostał odpowiedzi.

Herold odczytywał zarzuty wobec rycerza Bartolomé z Limes.

Hugo odwrócił się w stronę, w którą spoglądał starzec. Od razu ją dostrzegł. Zgrzybiała starucha otwierała szeroko usta, chwytając powietrze, którego zdawało się jej brakować, i bezskutecznie próbowała unieść się w lektyce trzymanej przez służących, nagle zaniepokojonych pobudzeniem swej pani.

Dreszcz przeszedł Hugonowi po plecach, kiedy dostrzegł złość malującą się na jej wykrzywionej twarzy. Cofnął się o krok i wpadł na Arnaua. Wyczuł, że starzec jest spięty.

Incydent z kobietą w lektyce opóźnił egzekucję. Herold zakończył odczytywanie zarzutów. Ktoś przybliżył ucho do suchych, zsiąniętych warg staruszki i powiódł wzrokiem za kościstym palcem, który celował w Arnaua. Ten ktoś podszedł następnie do podium i gestem ręki przywołał kierującego egzekucją ministra, starszego szlachcica z gęstą czarną brodą, wysokiego i krzepkiego, odzianego w bogaty strój z czerwonego jedwabiu i obwieszzonego złotem.

– Co się dzieje? – zapytał Hugo *micer Arnaua*, nie odwracając się do niego, wpatrzony w ministra, który przykucnął na brzegu podwyższenia.

Starzec nadal nie odpowiadał.

Minister wyprostował się. On również wbił wzrok w Arnaua, podobnie jak wielu zebranych. Nakazał kontynuować egzekucję. Rycerz z Limes padł na kolana przed pniem z taką samą godnością jak jego poprzednik. Tłum – także i Hugo – znów skupił uwagę na kacie i toporze wzniesionym nad szyją skazańca. Tylko Arnau

widział, jak minister wzywa dyskretnie jednego z dowódców i przekazuje mu jakąś informację.

– Margarida Puig – szepnął starzec.

Patrzył na mężczyznę zbliżającego się z grupką gwardzistów. Wydobyli miecze z pochew, podnieceni, jakby mieli natrzeć na niezwykłego bohatera. Nie ulegało wątpliwości, że staruchę utrzymywała przy życiu nienawiść.

Głowa rycerza sturlała się do worka. W tym czasie gwardziści z uniesionymi mieczami przepychali się przez tłum gapiów. Kilka kobiet zaczęło krzyczeć. Nikt nie stawiał oporu.

– Biegnij do domu i powiedz mojej żonie, że wrócili Puigowie i że zabierają mnie do więzienia – poprosił starzec, potrząsając Hugonem, by odwrócić jego uwagę od szafotu. – Niech szuka pomocy.

– Jak to?

– I niech bardzo uważa...! – krzyknął jeszcze.

Hugo pokręcił głową. Nic z tego nie rozumiał.

– Idź... – Arnau nie zdążył powtórzyć polecenia. Gwardziści rzucili się na niego i choć ten bezbronny człowiek nie uczynił niczego, by ich powstrzymać, dostał kilka ciosów, które na moment go oszołomiły.

Chłopiec z przerażeniem i niedowierzaniem patrzył, jak okładają staruszkę. Nikt nie reagował! Ludzie się rozstąpili, robiąc im miejsce. Hugo zrozumiał, że nikt nie ma zamiaru wystąpić w obronie *micer* Arnaua, więc sam rzucił się na najbliższego stojącego gwardzistę.

– Puśćcie go! – wrzasnął.

– Nie! – próbował go powstrzymać Arnau.

Hugo zdołał jednak zaskoczyć nieprzygotowanego na atak mężczyznę, tak że ten zachwiał się i upadł na ziemię.

– Dlaczego nim poniewieracie?! – wyrzucił z siebie wściekły chłopiec. Próbował zmobilizować otaczających ich barcelończyków, którzy trzymali się w bezpiecznej odległości. – Pozwolicie na to?! – krzyknął, zanim stawiał czoła następnemu gwardziście.

– Hugonie... – próbował przeszkodzić mu starzec.

– Chłopcze, nie...! – dobiegł z tłumu czyjś krzyk.

Ciąg dalszy zdania zawisł w powietrzu. Straszliwy cios w plecy zadany mieczem na płask przez jednego z gwardzistów rzucił chłopca pod nogi innego, który poczęstował go kopniakiem w brzuch.

– To tylko dziecko! – zaprotestowała jedna z kobiet. – Na tym ma polegać waleczność wojsk króla Jana?

Jeden z gwardzystów wykonał gest, jakby chciał się na nią zamachnąć, ale dowódca powstrzymał go i kazał mu zaprowadzić Arnaua na szafot. Starzec zdołał jeszcze odwrócić głowę i zobaczyć, że protestująca kobieta klęka przy Hugonie, który leżał na ziemi zwinięty w kłębek, trzymając się rękami za brzuch. Jego twarz i zduszone jęki świadczyły o tym, jak bardzo cierpi.

– Arnau Estanyol! – wykrzyknął szlachcic w czerwieni i złocie, kiedy dowódca wepchnął starca na podwyższenie. – Zdrajca królestwa!

Dwaj rajcy miejscy, którzy podeszli do szafotu zaintrygowani zatrzymaniem człowieka tak znanego i szanowanego w całej Barcelonie, znieruchomieli, słysząc oskarżenie. Scena ta przyciągnęła uwagę gapiów, którzy już zaczęli się rozchodzić.

– Kto tak twierdzi? – zapytał mimo wszystko donośnym głosem jeden z nich, członek Rady Stu, starszy wiekiem farbiarz, odznaczający się wielkim brzuchem i równie wielkim tupetem.

Rajcy – możni i kupcy – spiorunowali wzrokiem swojego towarzysza za ton, jakim się odezwał. Przed chwilą z czystej zemsty ścięto dwóch szlachetnie urodzonych; królową Sybillę torturowano bez sądu; pozostali ministrowie króla Piotra i dworzanie wdowy stanęli przed trybunałem, ich życie zależało od kaprysu chorego monarchy, który twierdził, że rzucono na niego urok... Tymczasem ten pyszałkowaty farbiarz śmie się spierać z nowymi urzędnikami!

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać.

– Tak twierdzi król Jan! – oświadczył szlachcic stojący na szafocie. – I to w jego imieniu przemawiam ja, Genís Puig, hrabia Navarres, kapitan generalny wojsk królewskich.

Farbiarz spuścił wielką głowę.

– Arnau Estanyol! – powtórzył szlachcic. – Złodziej i lichwiarz! Heretyk! Zbiegł spod władzy Świętej Inkwizycji! Zdradził króla! Zdradził Katalonię!

Złość, z jaką wykrzyczał oskarżenie o zdradę, sprawiła, że barcelończycy odsunęli się od podwyższenia. Wielu zadawało sobie pytanie, czy to możliwe. Hrabia nie miał prawa tego robić.

– Skazuję cię na śmierć przez ścięcie! Wszystkie twoje dobra zostają skonfiskowane.